



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Irena Dudo

W moim miasteczku

Wspominając moje wojenne dzieciństwo chcę przedstawić przeżycia i wrażenia dziecka z małego miasteczka, nie zagłębiając się w historię czy politykę, gdyż w wieku niepełnych 5-ciu lat w chwili wybuchu wojny i w czasie ponad 5-cio letniej okupacji pojęcia takie były mi obce. Wzrastałam początkowo tylko w kręgu najbliższej rodziny, z czasem poznawałam sąsiedztwo, dalsze ulice, w końcu całe miasteczko i okolice. Jeśli więc w moje wspomnienia wplatają się fakty historyczne, to są one fragmentaryczne, nieostre, częściowo zatarte w pamięci. Nie pamiętam dokładnie kolejności przeżyć, mam wątpliwości, czy zarejestrowane w pamięci obrazy miały miejsce na początku, czy pod koniec wojny. Żałuję, że po okupacji nigdy w rozmowach z rodzicami nie wracałam do przeszłości, nie czułam potrzeby odświeżania na nowo wojennego bytowania. Wolałam zamknąć ten rozdział życia, odgrodzić się od tego przygnębiającego okresu, pełnego lęku i niezrozumiałego zagrożenia. Mimo próby wykreślenia lat okupacji z mojego życia, nie wyzwoliłam się od bagażu wspomnień. Dziwne uczucie niepewności i niepokoju towarzyszy mi długo w dorosłym życiu. Strach przed człowiekiem w mundurze wojskowym, milicjantem, niepokojący ucisk serca na dźwięk mowy niemieckiej, bezwolne uleganie zewnętrznym nakazom i przymusom. Nie wiem, jakie byłoby moje dzieciństwo, gdybym nie przeżyła II Wojny Światowej. Być może nie byłoby dostatnie, ale przynajmniej normalne – spokojne i bezpieczne.

Pierwsze moje wspomnienie dziecięce wiąże się z rokiem 1939. Widzę obraz rodziny, zgromadzonej w mieszkaniu, ja wspinam się na krzeselko i siadam na parapecie okna. Wyglądam na podwórko, nie widzę żadnych ludzi, jest dziwnie cicho i pusto. Nagle z głębi ulicy daje się słyszeć tętent koni, jeźdźcy wpadają na podwórze, zawracają konie i za chwilę znikają za rogiem domu. Rodzice wymieniają niezrozumiałe słowa: żołnierze, wojna. Niepokój rodziców udziela się i mnie. Słyszę, że mamy opuścić dom i uciekać do okopów. Mama przygotowała koszyczek ugotowanych jajek, czekam kiedy zaczniemy jeść, ale okazuje się, że nie wolno. Nadchodzi pora obiadowa, na obiad placki ziemniaczane, jeszcze nie smażą, ale ktoś z zewnątrz woła, że trzeba uciekać. Mama chwytą na ręce moją młodszą siostrzyczkę, przygotowany koszyk, ponagla ojca, lecz ojciec nie ma zamiaru iść z nami i staje przy kuchni, aby dosmażyć resztę placków. Idziemy więc same, ja chwytam mamę za brzeg spódnicy, boje się ją zgubić. Na dworze sporo ludzi, wszyscy kierują się do okopów. Schodzimy do głębokiego rowu po zrobionych w ziemi schodkach. Po jakimś czasie wracamy do domu. Mama niezadowolona, ma cichą pretensję do ojca, że nam nie towarzyszył i jej pozostawił troskę o dzieci.

I znów w pamięci pojawia się obrazek ucieczki z domu. Widocznie mieszkańcy spodziewali się bombardowania, bo całą rodziną wybiegliśmy z domu. Za 100 metrów od nas mieszkali sąsiedzi w dużej, piętrowej willi z obszernymi piwnicami. Udaliśmy się tam, okazało się jednak, że piwnice są

już zapełnione ludźmi. Nie chcą nas wypuścić, lecz jedna z kobiet, wysoka, pulchna blondynka, widząc wystraszone małe dzieci zlitowała się i postanowiła nas przyjąć. Przed wejściem poleciła mi przeżegnać się, co też zrobiłam, i podała mi jabłko. W piwnicy było duszno i ciasno, toteż na wiadomość, że w kamienicy adwokata otwarto dla chętnych bardzo obszerny schron, przenieśliśmy się tam na noc. W schronie płakały dzieci, krążyli niespokojnie ludzie, część mężczyzn, wśród nich ojciec, wyszli na zewnątrz i w przelotowej bramie pod ścianą rozłożyli koce. Ponieważ nie mogłam zasnąć, ojciec zabrał mnie z sobą. Była ciepła noc, a jej ciszę przerywały przelatujące bombowce, potem rozległy się nagłe wybuchy, podobne grzmotom burzy. W dali niebo było zupełnie jasne. Czasem bombowce przelatywał i cichły w oddali, ale z daleka dochodził nas nieprzerwany, przytłumiony przez odległość huk – mężczyźni szepotali, że to bombardują Warszawę. Leżałam na kocu i patrzyłam w granatowe, dalekie niebo, słuchałam rozmów i napływających falami odgłosów samolotów, aż wreszcie zmęczona usnęłam. Obudziłam się w schronie rano, gdy zagrożenie minęło i wszyscy rozchodzili się do domów. Mamę przy mnie nie było, przerażona zaczęłam płakać. Opiekująca się mną kobieta uspokoiła mnie, że mama zaraz wróci, wyszła tylko zagrzać mleko dla małej siostrzyczki. Nie pamiętam bombardowania mojego miasta, ale w ogrodach pozostały głębokie wyrwy i mówiono, że to są ślady po bombach.

Ojciec mój był indywidualistą. Zawsze robił to, na co miał ochotę, nie licząc się z oczekiwaniami rodziny. Lubił urozmaicenia w kontaktach z ludźmi, był wesoły, towarzyski. Sam niepalący, podczas wojny hodował w ogródku tytoń, mimo, że było to zabronione, robił własnoręcznie papierosy i częstował znajomych. Zawsze okazywał zadowolenie z życia, lubił się chwalić, a kłopoty finansowe skrętnie ukrywał przed ludźmi. Nie znosił monotonnej pracy. Przed wojną dzierżawił sady i ogrody, mieszkał wtedy w prowizorycznych barakach, skleconych z desek, byle na swobodzie. Obchodził ze strzelbą na ramieniu całe swoje królestwo, chroniąc je nie wiem, przed czym – przed złodziejami czy ptakami. Ta strzelba była przyczyną nieszczęścia. Ojciec miał dwóch synów z pierwszego małżeństwa, którzy wraz z kuzynem przyjeżdżali do ojca zażyć koczowniczego życia. Kiedyś po obchodzie sadów ojciec nie rozładował strzelby, a chłopcy nie wiedząc o tym zaczęli strzelać do siebie „na niby”. Jeden z nich pociągnął za spust i młodszy syn ojca zginął na miejscu. Tę historię szeptem przekazywano sobie w rodzinie, wskazując na lekkomyślność ojca. Szkoda, że nigdy nie interesowałam się życiem przedwojennym rodziny, pracą ojca, a te okrucieństwa wspomnień zachowałam przypadkowo dzięki usłyszанym rozmowom.

Podczas okupacji hitlerowskiej warunki zmusiły ojca do szukania innego sposobu zarobkowania. Doszedł do wniosku, że niezawodnym fachem jest otworzenie „pracowni obuwia”, jak to szumnie nazywał. Wydedukował, że każdy sąsiad będzie zmuszony naprawiać buty, łątać dziury, a czasami zamówi nowe, „na obstalunek”. Choć siedzący tryb życia ojcu doskwierał, dzięki jego decyzji można było jako tako wyżywić rodzinę. Za naprawę obuwia ludzie przynosili opłatę w naturze. Przynosili też własny materiał na naprawę – starą teczkę skórzaną, pasek, stare obuwie, którego nie dało się uratować. Wielkie święto było, gdy ojciec zrobił nowe buty. Najczęściej klientami byli ludzie ze wsi, którzy przynosili skórę i życzyli sobie buty z cholewami, tzw. oficerki. Ojciec wtedy czuł się artystą, był dumny z własnego wyrobu. Gotowe buty stawiał na stole, podziwiał je i wielokrotnie polerował szmatką. Dla nas najważniejsza była zapłata – oczywiście w naturze: ziemniaki, słonina, kawałek mięsa. Mięso na obiad to było cudowne wydarzenie. Mama starała się, by chociaż w niedzielę ugotować obiad mięsny. Wtedy na drugie danie najczęściej były kotleciki mielone i bardzo dużo sosu. Ze wzruszeniem przypominam sobie szczęśliwe momenty, związane z zaspokojeniem apetytu na dobre rzeczy. Kiedyś mama, której zawsze asystowałam przy przygotowaniu posiłków, naleła mi do kubeczka troszkę mleka. Piłam powoli, delektując się nią, aby przyjemność trwała jak najdłużej. Innym razem stałam przy kuchni, a mama kroila słoninę i kładła na rozgrzaną patelnię cieniutkie kawałeczki. Wyobrażałam sobie, jak smaczna, mięciutka i tłusta jest ta słoninka, ale nie prosiłam o kawałek, tylko patrzyłam wygłodniałym wzrokiem. Widocznie mama spostrzegła moje pożądlive spojrzenie i ukroiła mi plasterczek. Dziwne, że takie, zdawałoby się błahe momenty do tej pory tkwią w mojej pamięci. Tak samo jak historia z kielbasą. Była ona rzadkością w domu i mama pokroiła ją na cieniutkie plasterki. Ja dostałam trzy i kawałek suchego chleba. Ułożyłam te plasterki na chlebie, ale było ich za mało, żeby zakryć całą powierzchnię. Zastanawiałam się, jak rozmnożyć kielbasę i postanowiłam podrobić plasterki na małe kawałeczki. Rozłożyłam kielbasę na chleb, kawałek przy kawałku i o dziwo, wystarczyło na cały chleb. Długi czas zastanawiałam się, jak to było możliwe i przez wiele lat było to dla mnie zagadką.

Mama starała się jak mogła, by zaspokoić ciągle głodną rodzinę. W małym ogródku hodowała warzywa, w skleconej z desek komórce trzymała kilka kur i króliki. Co drugi dzień kupowaliśmy litr mleka, co dla siedmioosobowej rodziny było kroplą w morzu. Nie piliśmy więc mleka, tylko „białą kawę” z cykorią, lecz uprzednio mama zbierała z mleka śmietankę do zupy lub na masło, robione w butelce. Śniadania i kolacje były podobne – chleb z marmoladą z buraków cukrowych lub z melasą, gdyż w miasteczku była cukrownia. Dzięki tej cukrowni nie brakowało nam cukru. Była ona ratunkiem dla mieszkańców miasta, bo dawała zatrudnienie i ratowała przed wywózką na roboty do Niemiec.

Robotnicy wynosili po trochu cukier, mimo, że byli rewidowani przy wyjściu. Słyszałam, że wynosili cukier w kieszeniach lub w nogawkach spodni, podwiązanych od dołu.

Niemcy wydawali Polakom kartki żywnościowe na chleb, a może i na inne produkty. Jednak chleba na kartki ciągle brakowało; trzeba było stać w olbrzymiej kolejce czekając na dostawę, a potem, gdy piekarnia została otwarta, ludzie hurmem wpychali się do wnętrza, aby zdążyć kupić chleb, bo dla wszystkich nie wystarczało. Czasem mama wysyłała mnie do piekarni razem z dziećmi sąsiadów. Ludzie orientowali się, w której piekarni i o jakiej porze będą sprzedawać. Stawaliśmy w kolejce przed sklepem, a po dostaniu się do środka zdani byliśmy na litość dorosłych – aby nie odepchnęli, nie zgnetli, nie zadusili, pozwolili kupić. Niektórzy myśląc tylko o sobie podawali kartki ponad naszymi głowami, ledwie wystającymi ponad ladę sklepową. Bywało i tak, że z płaczem wracałam do domu bez chleba. Ale dumą napawały mnie takie dni, kiedy z gorącym, pachnącym bochenkiem wracałam do domu, choć wyglądałam strasznie – czerwona, potargana, na drżących nogach.

Nie wiem, ile chleba kartkowego przypadało na jedną osobę, ale ciągle go brakowało, tym bardziej, że razem z nami mieszkała babcia i ciocia, która jako nauczycielka ukrywała się, a więc nie była meldowana. Zamiast chleba na kolację bywały ziemniaki smażone, latem ziemniaki w mundurkach z ogórkiem kiszonym lub mizerią, pyszna sałatka z ziemniaków, fasoli i buraków. Chleb jednak był niezbędny. Nie wiem, kto odkrył sposób na produkcję chleba, ale mama z cicią zaczęły go wypiekać same. Ponieważ mąki nie można było kupić, w czasie żniw dorośli z dziećmi wyprawiali się kilka kilometrów za miasto, na pola świeżo po sprzęcie zboża. Zbieraliśmy kłosa do worków, następnie koło domu rozkładaliśmy stary koc i biliśmy kijami, żeby ziarno się wysypało. Potem trzeba było czekać na wietrzny dzień, żeby przysypując ziarno przewiać go i oddzielić od plew. Czyste ziarno mama moczyła, a gdy napęczniało, męła na zmianę z cicią w maszynce do mięsa. Była to ciężka praca, a trzeba było powtórzyć tę czynność 3 razy. Próbowałam pomagać, ale byłam za słaba, by choć raz obrócić korbką. Z uzyskanej masy wypiekany był chleb. Narzekaliśmy, że chleb był czarny, gruby i kłujący. Mama przekonywała nas, że chleb z piekarni jest niezdrowy, pieczony ze spleśniałej mąki. To była prawda, kupiony chleb był gorzkawy, z dziwnym zapachem, ale my, dzieci, nie mogłyśmy się przekonać do tego drapieżnego swojej produkcji chleba.

Niesmaczne, skąpe i niepełnowartościowe pożywienie zniechęcało do posiłków, a zmuszanie dzieci do jedzenia nie zdawało się na nic. Uczucie głodu, wyrażane w początkowym okresie, minęło, żołądek się skurczył, przyjmował coraz mniej pokarmu. Mama, martwiąc się, że dzieci się zagłodzą, nie pozwalała odejść od stołu i siedziałyśmy nieraz godzinę nad talerzem ostygłej zupy. Ciocia podsunęła mamie myśl, żeby za karę nie dawać nam nic do jedzenia aż do kolacji. Chodziłyśmy więc wokół domu szepcząc: „biedroneczko, skocz do nieba, przynieś mi kawałek chleba”. Pamiętam jednak, że mój żołądek nie odczuwał wyraźnego głodu i mama szybko zrezygnowała z metody zmuszania.

W pierwszych latach okupacji, mimo trudnych warunków mama lubiła wspomagać innych. To wysyłała mnie z resztą obiadu do przytułku, to wynosiła talerz zupy Żydowi Mojsze, który przez jakiś czas, już po wywózce Żydów, błąkał się po mieście. Był to młody Żyd, nienormalny, ale nieszkodliwy. Po jakimś czasie przestaliśmy go widywać, mówiono, że Niemcy go zastrzelili.

Przytułek mieścił się w wielkiej izbie – przynajmniej taką mi się wydawała. Na podłodze porozkładane były barłogi do spania. Tam spędzono ludzi starych, samotnych, niedołączonych. Mama dowiedziała się, że sąsiadka z naszej ulicy – Figasowa, też tam została umieszczona. Do niej właśnie mnie posyłała. Gdy w towarzystwie koleżanki wchodziłam na salę, z barłogów podnosiły się wszystkie głowy. Pytano, do kogo przychodzimy i wskazywano znajomą mamy. Krępowały mnie jej podziękowania, a tu jeszcze reszta pensjonariuszy przyłączyła się do niej, życząc, aby Bóg dał mamie zdrowie.

Rodzice nie odmawiali pomocy ludziom w potrzebie, mimo, że mieszkanie było za ciasne na siedmioosobową rodzinę. Zdarzało się, że budziłam się w nocy i spostrzegłam obcych ludzi, przyjmowanych na jedną noc. Myślę, że byli to uciekinierzy, wędrowali całymi rodzinami, z dziećmi, spali u nas gdzie się dało, nawet na podłodze, a rano nie było po nich śladu.

Moja rodzina składała się z rodziców i czterech córek. Jedna z siostr pojechała do wujka pod Warszawę i tam zastała ją wojna. Ponieważ w Protektoracie były lepsze warunki życia, była polska szkoła, została tam więc do zakończenia wojny. Na początku 1940 roku przyjechała do nas ciocia z babcią, zostawiając w Łodzi mieszkanie, cały dorobek życia, z obawy o aresztowanie. Ciocia była nauczycielką, jej mąż, oficer rezerwy, walczył na froncie wschodnim. Nowych domowników nie można było zameldować, a więc nie było dla nich kartek żywnościowych i dzieliliśmy się tym, co udało się zdobyć. Szczególne niebezpieczeństwo groziło cici, gdyż Niemcy w pierwszej kolejności wywozili nauczycieli, księży i Żydów.

Moje rodzinne miasto, jak wiele miast polskich, było zamieszkałe przez ludność polską, żydowską i kilka rodzin niemieckich. Część miasta, położoną wokół kościoła farnego i klasztoru zamieszkiwali Polacy. W tej dzielnicy znajdował się okazały ratusz, szkoła, apteka. W drugiej części wokół placu, na którym stała bożnica, mieszkały rodziny żydowskie. Tu było najwięcej sklepików, w których było wszystko – śledzie i inne artykuły spożywcze, mydło. Do dziś pamiętam sklep Dancygiera, kolonialny,

z największym wyborem cukierków. Jedną z głównych ulic zasiedlali Polacy i Żydzi, dlatego miała ona dwie nazwy: połowa nazywała się ulicą Krakowską, a połowa Żydowską. Miasto miało dwa cmentarze – po jednej stronie, nad rzeką katolicki, zaś po drugiej stronie, na wzgórzu – żydowski. Był on dobrze widoczny z daleka i kiedyś podczas spaceru był mimowolnym światkiem żydowskiego pogrzebu. Widziałam tłumek ludzi i zawodzące „placzki”, wyrrywające sobie włosy z głowy, oczywiście w przenośni. Musiał być to początek wojny, bo potem wszystko zaczęło się zmieniać. Sklepy żydowskie zostały zamknięte, a Żydzi chodzili z naszytymi na ubrania żółtymi gwiazdami. My chodziliśmy po chodnikach, a Żydzi brzegiem jezdni. Do dziś tkwi w mojej pamięci ten obraz: idę z innymi dziećmi chodnikiem, patrzę na Żydów w długich płaszczach, z brodami, idących rynsztokiem. Spoglądałam z przykrością i zdziwieniem i pytam: dlaczego? Myślałam: czy nam wkrótce też Niemcy nie pozwolą chodzić po chodniku?

Wkrótce Żydzi zniknęli z miasta, została spalona bożnica, kościół i klasztor zamknięto, a nasz ksiądz prałat Kuliński wywieziony do Dachau, gdzie zginął. Siostry zakonne zrzuciły habity i przebrały się w zwykłe ubrania. To zakonne zgromadzenie w swoim mieszkaniu niedaleko klasztoru potajemnie starało się organizować życie religijne – odprawiły nabożeństwa majowe, różaniec. Po nabożeństwie wychodziliśmy pojedynczo lub po dwie osoby, byśmy nie rzucali się w oczy. W kościele farnym Niemcy urządzili skład zboża i po wojnie długo utrzymywał się w nim stęchły, wilgotny zapach.

Szkoły podstawowe pozamykano, a nauczyciele, którzy nie zdążyli się ukryć, zostali aresztowani i wywiezieni. Za to otworzono szkołę dla dzieci Niemców i Volksdeutschów. Coraz więcej Niemców osiedlało się w mieście, zajmowali urzędy i okazałe domy, z których wysiedlali właścicieli. Na skwerze odmalowano ławki i na nich pojawiły się napisy w języku niemieckim – „tylko dla Niemców”.

Dla mnie najstraszniejszy był widok żandarmów. Chodzili ulicami po dwóch z wielkim psem u boku. Otwierali bez pukania drzwi mieszkań i kontrolowali, co się w nich dzieje. Dla naszej rodziny było to szczególnie niebezpieczne ze względu na ciocię. Gdy tylko spostrzegliśmy, że żandarmi zbliżają się do domu, ciocia chowała się do piwnicy, to do sionki, a kiedyś, gdy żandarmi byli już w kuchni, wcisnęła się do szafy, a ja zamknęłam drzwi na klucz i trzęsłam się ze strachu. Najgroźniejszym żandarmem był Nedle, który lubił bić i krzyczeć, nie miał litości, więc gdyby coś zauważył, przepadlibyśmy. Żandarmi byli różni. Pamiętam Bawarczyka, przysadzistego, o wesołej twarzy. Gdy samodzielnie robił obchód, wchodził do mieszkania i mówił „czindobry matka”, a wtedy cała rodzina oddychała z ulgą, czując się w miarę bezpiecznie. Ponieważ bałam się Niemców, mimo że rodzice unikali rozmów przy dzieciach na temat okropności. Bywało, że szłam ulicą do sklepu i spostrzegłam nadchodzących z naprzeciwka żandarmów. Za nic w świecie nie przeszłabym koło nich. Zawracałam do domu na drżących nogach, odczuwałam ból żołądka i słabość. Mama, widząc moją bladą twarz i zimny pot na czole nie wysyłała mnie już po raz drugi, a ja siadałam w najdalszym kąci i powoli przychodziłam do siebie. Trzeba było jednak od czasu do czasu wyręczać mamę w robieniu drobnych zakupów, bo starszej siostrze udało się zatrudnić na zapleczu sklepu, więc była zajęta. Moje wyprawy z domu często kończyły się ścisaniem w żołądka i biegunką ze strachu, a w związku z tym powrotem biegiem do domu.

Mama wysyłała mnie czasem do mleczarni po maślanek, z której gotowała polewkę, pożywną zupę, ale nie lubianą przez dzieci. Pewnego razu kilka godzin stałam w kolejce wzdłuż ściany, lecz im bliżej było godziny otwarcia mleczarni, tym kolejka poszerzała się bardziej, stała się podwójna, potrójna, aż wreszcie tłum zajął cały środek korytarza. Stało się jasne, że nie dla wszystkich wystarczy. I nagle usłyszałam niemiecką mowę. Żandarm zaprowadzał porządek, krzyczał, a potem mignęła gumowa pałka i razy spadały na głowy ludzi. Choć stałam w prawidłowo zajętej kolejce, gdy bity tłum ruszył do wyjścia, ja nie wytrzymałam nerwowo i uciekłam razem z ludźmi. Poczułam uderzenie gumą po dłoń, wybiegłam i pędem wróciłam do domu. Na ręce widniała czerwona pręga. Ale nie to bolało. Bolało, że stchórzyłam i przez to wróciłam z pustą bańką. Nie przyniosłam maślanek dla rodziny i tyle godzin stania w ścisaku na próżno.

We wspomnieniach widzę twarz mojej mamy – zatroskaną, smutną, wymęczona całodzienna harówką. Zaspokojenie potrzeb siedmioosobowej rodziny – gotowanie, sprzątanie, łatanie i szycie odzieży, pranie a także praca w ogródku zajmowało czas od rana do wieczora. Najtrudniej było utrzymać dom i odzież w czystości, brak było środków myjących i piorących. Rodzice starali się o środki do wyrobu mydła, do którego konieczny był tajemniczy składnik „kalafonia”. W dużym saganie gęsta maź gotowała się długo, aż wreszcie mydło było gotowe. Męczyła ciągła wojna z insektami, które przynosiło się z kolejek.

Nasza odzież podlegała z konieczności ciągłym przeróbkom, czasem udało się zdobyć kawałek materiału i mama wszystko szyla sama. Każda sztuka odzieży była łatana, przerabiana aż do całkowitego zardarcia. Najtrudniej było z ciepłą odzieżą na zimę. Ktoś wymyślił, że sznurek, z którego robiono worki, świetnie będzie się nadawał na swetry. Sznurek był biały, z połyskiem, spleciony z wielu pasemek. Handlująca nim nauczycielka przyniosła do nas wielkie kłębki i nauczyła jak je rozkręcać, rozdzielając na kilka cieńszych sznurków. Cała rodzina miała wieczorami zajęcie – każdy nawijał swoje

pasemko, a kłębek pośrodku rozwijał się i okręcał wokół swojej osi. Z tej sznurkowej włóczki mama i ciocia robiły na drutach swetry, które choć nie wełniane, to pewne ciepło dawały.

Mama nigdy nie skarżyła się na zmęczenie czy złe zdrowie, ale kiedy zdarzała się wolna chwila, siadała w kuchni milcząc i ciężko wdychając. Gdy my, dzieci, wyrwałyśmy się z domu, najczęściej w niedzielę, na spacer czy na pola, mama widocznie nie czuła się na siłach i wołała zostać sama. W towarzyszeniu nam wyręczała ją ciocia – nauczycielka, która zapoznawała nas z roślinnością, zwracała uwagę na piękno otoczenia, a cisza, spokój i harmonia wokół dawały mi wrażenie bezpieczeństwa, niosły radość życia. Te eskapady za miasto wspominam do dziś jako najpiękniejsze obrazy z mojego dzieciństwa.

Okres okupacji przedłużał się, lecz wszyscy mieli nadzieję, że ten straszny czas niewoli niedługo się skończy. Rodziny zaczęły się martwić o dzieci, rosące bez szkoły i nauki i poszukiwały kontaktów z tymi nauczycielami, którzy ukrywali się w mieście. Do cioci potajemnie zgłaszali się rodzice, aby przyjęła dziecko na naukę i czuła się w obowiązku wyrazić zgodę. W naszym domu zaczęły się pojawiać dzieci w różnym wieku, przychodziły po kilkoro ze schowanymi za koszulą zeszytami, a może po prostu kartkami papieru pakowego, bo pamiętam, że zeszytów nie można było kupić. Lubiałam asystować podczas lekcji. Dostałam tabliczkę i rysik, obserwowałam mozolną pracę o kilka lat starszych kolegów i próbowałam ich naśladować pisząc na tabliczce. Dopiero po jakimś czasie ciocia zorientowała się, że nauczyłam się pisać i czytać. Dostawałam od tego momentu kartki papieru i byłam szczęśliwa, że jestem traktowana jak uczennica. Siadałam z boku, przysłuchiwałam się, przepisywałam z książki teksty, rozwiązywałam zadania.

W wielu rodzinach przechowywano przedwojenne podręczniki szkolne, w naszym domu zebrała się ich znaczna ilość, ale nikt z nas, dzieci, nie znał miejsca ich przechowania, byśmy pod presją nie ujawnili go Niemcom. Żandarmi, wchodząc do mieszkania rozglądali się, szukali polskich książek, a widząc stojące na półce, przeglądali skrupulatnie. Na etażerze w pokoju stały więc ilustrowane książki o roślinach, piękna książka „Z naszych pól i lasów”, której autora nie pamiętam, powieści Karola May’a. Minęło tyle lat, a ja ciągle wspominam książkę z życia ptaków i zwierząt, opisującą jak chronią swe małe przed niebezpieczeństwem. Każde zwierzę – czy to sarna, lis, zając, czy dzika kaczka, tak samo jak ludzie, kochały swoje dzieci, przymierały głodem dla nich, a czasem dla nich ginęły z rąk ludzi lub w paszczy silniejszego zwierza. Żałuję, że po wojnie nie spotkałam książek tego typu, a jeśli wydawane są książeczki o zwierzętach, to misiaczkach, zajączkach, które wesoło hasają i przypominają dzieciom, że istnieją.

Dzieciom polskim zabronione było kształcenie się, dlatego zaraz na początku okupacji zamknięto szkoły i wywieziono do obozów nauczycieli. Zbieranie się ludzi w domach było niedozwolone, a więc niebezpieczne. Prowadząc lekcje ciocia starała się, by na raz przychodziły tylko 2-4 osoby. Dzieci rozumiały, że narażają siebie i domowników, miały przykazane, że jeśli zobaczą lub usłyszą żandarmów, wchodzących do kuchni, mają natychmiast zebrać swoje zeszyty i przybory do pisania, schować pod ubranie i wymknąć się drugimi drzwiami na dwór. Tam zaraz rozbiegały się, lub udawały, że zajęte są zabawą. W domu natychmiast znikwały podręczniki, ciocia chowała się. Niemcy zastawali mamę krzątającą się przy kuchni i dwoje dzieci. Nie dziwiło ich, że ja zmartwiała ze strachu siedzę w kąci, była to bowiem normalna reakcja na ich widok. Mieliśmy szczęście, bo zawsze udawało się tak zatrzeć ślady, że nikt nie został aresztowany.

Nie dziwię się, że polskie podręczniki były tak nienawistnie niszczone przez okupanta. Właśnie dzięki nim nauczyłam się patriotyzmu, dumy ze swego kraju, jego historii, pięknych kart przeszłości. Książki wyzwalały we mnie tęsknotę do swobody, wyzwolenia od Niemców. Podczas okupacji przerobiłam program do klas I-III i do dziś wspominam czytanki z języka polskiego, które gloryfikowały bohaterstwo, patriotyzm, odwagę i prawdomówność. Czytanki przedstawiały obrazy z dzieciństwa Józefa Piłsudskiego, Rydza Śmigłego (te pamiętam), opowiadały o odważnych harcerzach, o Zawiszy Czarnym, od którego przejęłam dumę z własnej narodowości. Przejęłam też zasadę, że jeśli dam słowo, jeśli coś przyrzekam, to na pewno dotrzymam. Straciłabym szacunek dla samej siebie, gdybym lekko traktowała jakiegokolwiek zobowiązania. Takie liczenie się z własnym słowem towarzyszyło mi przez całe życie, czasem je utrudniało.

Lekcje dla klas młodszych w tajnym nauczaniu ograniczały się do dwóch przedmiotów: języka polskiego i matematyki. Treści czytanek poszerzały naszą wiedzę o świecie, o osiągnięciach sławnych Polaków, o przyrodzie. Oprócz podręczników dużą rolę odgrywały książki do czytania, gdzieś w domu przechowane i po jednej wyciągane, dawane mi do rąk jako najcenniejszy, tajemniczy skarb. Najpiękniejszą lekcją historii była podsunięta mi książka „Poczet królów polskich”, opatrzona portretami. Nie spotkałam po wojnie jej wznowienia, a szkoda. Czytałam ją jak fascynującą powieść, często do niej wracałam, poznałam wizerunki królów na portretach. Ta książka wpoila we mnie zamiłowanie do czytania książek historycznych i na nich opierało się moje rozumienie faktów z przeszłości. Ze szczególnym sentymentem zaczytywałam się w historii związanej z królem Władysławem Łokietkiem i dumna byłam, że w moim mieście miał kiedyś swoja siedzibę.

Ortografia była zawsze moją mocną stroną. Jako nauczycielka zastanawiałam się, jaka metoda wpłynęła decydująco na umiejętność poprawnego pisania, bo przecież nikt się mną specjalnie nie zajmował, nie było tablicy, pomocy naukowych. Myślę, że znajomość ortografii osiągnęłam dzięki temu, że pisanie traktowałam jak święto, a zeszyt jak cenną rzecz. Poza tym „Ćwiczenia ortograficzne” miały świetny układ, całą masę króciutkich wierszyków, zawierających trudne wyrazy. Wyrazy – wyjątki układane były w rymowanki, co pomagało je zapamiętywać. Dlatego po wojnie, już w szkole, na wieść, że będzie dyktando z góry cieszyłam się pewna, że nie zrobię błędu.

Wspominałam, że jedna z sióstr, starsza ode mnie, w czasie okupacji przebywała pod Warszawą i tam chodziła do szkoły. Pisała do nas listy, a wielką radość sprawiały nam paczki z zeszytami i przybarami do pisania, których nie można było u nas kupić. Wzrastałam w szacunku do książek i wykształcenia, a świadomość polskości, rozpalona dzięki punktowi oświatowemu jakim był nasz dom, tkwiła głęboko ukryta, ale niezwykle silna. Duma z historii miasta, sięgającej czasów rozpadu dzielnicowego, utożsamianie się z bohaterami książek, które zachłannie czytałam – wszystko to pozwalało mi uciekać od zagrożeń świata zewnętrznego w świat fantazji, przebywać w swoistej izolacji, przywracającej równowagę duchową.

Zapominałam także o okupacji, żandarmach, spędzając czas na zabawach w samotności, w domu, lub na dworze wspólnie z rówieśnikami. Zabawy nasze były niewymyślne, najczęściej gra w gonionego, w palanta, w klasy, zabawa w chowanego, bieganie z kółkiem. Zimą, gdy spadł duży śnieg, dzieci wybiegała lepić bałwana, obrzucać się śnieżkami, ślizgać się na stawie lub jeździć na łyżwach własnej roboty. Być może mrozy były silniejsze, a może my, dzieci, niedożywione i z tego względu mało odporne na zimno. Bo ciągle miałyśmy odmrożone stopy. Leczyło się odmrożenia domowym sposobem. Zaczerwienione, opuchnięte miejsca smarowaliśmy naftą i przypiekaliśmy przy otwartych drzwiczkach piecyka. Bardzo bolało, ale odmrożenie szybko przestawało dokuczać. Staraliśmy się zabezpieczać nogi nie tylko pończochami, ale i kawałkami szmat – onucami.

Wiosna i lato to najpiękniejsze dla dziecięcych zabaw okresy, buszowanie po ogrodach, urządzenie kryjówek w krzakach i ostach, odkrywanie coraz innych kwitnących roślin, podpatrywanie ptaków, zbieranie kwiatów. Wtedy czułam się szczęśliwa. Kwiaty wprawiały mnie w zachwyt swymi kształtami i barwami, przenosiły w baśniowy świat. Były także produktem do eksperymentów, jak np. robienie wina z płatków chabrowych, obserwacja stopniowego zabarwienia się wody, codzienne próbowanie, by po jakimś czasie stwierdzić, że wino jeszcze nie nabrało mocy, a zostało go już tylko trochę na dnie butelki.

Kwiaty, gałązki, szkiełka i skorupki były materiałem do tworzenia „seansów filmowych”. Zabieraliśmy te cudownie piękne drobiazgi, a następnie każdy przygotowywał swoje „kino malino”. W tym celu należało wykopać w ziemi dołek, w którym artystycznie układaliśmy skorupki, kwiatki, gałązki, przykrywaliśmy dołek szkłem i zasypywaliśmy piaskiem. Teraz zaczynał się seans. Powoli palcem odgarniało się piasek, okienko się powiększało i przed oczami ukazywała się kompozycja.

Co jakiś czas rozchodziła się po mieście wiadomość, że Niemcy mają wysiedlać mieszkańców, nieznane były jednak ulice, rejony gdzie miała przebiegać akcja. Wysiedlanie odbywało się nocą – Niemcy wpadali do mieszkań, wypędzali całe rodziny i wywozili w nieznane. Na wieść o zagrożeniu przed spaniem mama przygotowywała tobołki z niezbędnymi rzeczami, wskazywała każdej z nas, który ma pochwycić i pilnować w razie, gdybyśmy nocą, wyrwani ze snu, zmuszeni byli opuścić dom. Kładłam się w ciemnościach do snu bojąc się, że zapomnę, gdzie leżą przygotowane dla mnie rzeczy. Pewnego razu Niemcy ogłosili, że o godzinie 1200 w południe cała ludność ma stawić się obowiązkowo na placu targowym. Ktoś z rodziny szepnął ojcu w tajemnicy, żebyśmy zostali w domu. Baliśmy się narazić Niemcom, mimo to przyczailiśmy się w mieszkaniu i czekaliśmy. Okazało się, że Niemcy wszystkich ludzi przybyłych na plac zgarnęli do samochodów i nigdy nie słyszeliśmy o ich losach. Tak więc szczęśliwie ominęło nas wysiedlenie, a być może wywózka do obozu.

Im bliższe było oczekiwane zakończenie wojny, tym większej odwagi nabierali ludzie. Popołudniami w tajemnicy spotykali się w grupach sąsiedzkich, przekazywali sobie zdobyte wiadomości z frontów. Ojciec wieczorami wychodził z domu, po powrocie wspominał o bliskim już wyzwoleniu. Pewnego rana wyszedł na miasto, lecz wkrótce wrócił wzburzony, mówiąc mamie, że Topolskiego aresztowali. Na pytanie mamy: dlaczego?, odpowiedział: to komunista. Mama wystraszona zasypała go wymówkami, dlaczego tam chodził, przecież mógł być obecny w czasie aresztowania i także by przepadł. W razie aresztowania ojca co by się stało z naszą rodziną?

Ciocia spotykała się u kuzynki z miejscowa inteligencja i po powrocie przekazywała rodzicom zasłyszane wieści. Słuchano potajemnie radia. Mnie interesowały seanse wywoływania duchów, które pytano o losy najbliższych lub kiedy skończy się wojna. Aby przywołać ducha należało zasiąść wokół okrągłego stolika. Na stoliku leżał do góry dnem płaski talerz, na którym zaznaczona była strzałka. Wokół talerza rozmieszczony był promieniście alfabet i cyfry. Uczestnicy seansu trzymali dłonie na brzegu talerza, zetkniętymi palcami tworząc krąg. Gaszono światło i prowadzący seans pytał: duchu, jesteś? Wszyscy z napięciem czekali, aby duch dał znak swojej obecności a to silnym powiewem

powietrza, to stuknięciem, trzaśnięciem drzwiami. Wtedy każdy kolejno mógł zadawać pytania i talerz zaczynał wirować, wskazując strzałką litery. Opowiadanie cioci – uczestniczki seansów rozbudzało naszą ciekawość, próbowaliśmy więc w domu wywoływać duchy, lecz jeśli nawet talerz drgnął, posądzaliśmy się wzajemnie o manipulację. Seans zaczynał się dreszczykiem emocji, a kończył żarcikami, choć wierzyliśmy, że niektórym ludziom kontakt z duchami się udaje.

W domu coraz częściej mówiło się o Amerykanach, że zbliżają się w szybkim tempie do Polski i wkrótce nas wyzwolą. I mama, i ciocia nie dopuszczały do siebie myśli, że może się stać inaczej, że wyzwolenie przyjdzie ze Wschodu. Ciocia nie mogła przeżyć śmierci swego męża w 1939 roku. Nigdy już nie wyjaśnię, gdzie i w jakich okolicznościach zginął wujek – oficer rezerwy. Jesienią 1939 roku, mieszkając jeszcze w Łodzi, ciocia otrzymała z PCK zawiadomienie, że wujek został ranny i leży w szpitalu we Lwowie, a po dwóch tygodniach, że zmarł. Tymczasem po przyjeździe do nas, nie jestem pewna, czy był to rok 1940, a może 1941, doręczono jej zawiadomienie niemieckiego PCK, że wujek zginął w Katyniu. Pamiętam ciocię zapłakaną, trzymającą świstek papieru w ręce. Gdy kilka lat temu ukazała się książka o Katyniu z listą zamordowanych tam oficerów, szybko odszukałam literę K, lecz o tym samym nazwisku i imieniu wyszczególniono 5 osób, bez dodatkowych danych, a więc moje wątpliwości pozostały.

Niezależnie od tego, czy wujek zginął we Lwowie, czy w Katyniu, zabili go Rosjanie, stad nieprzyjazne uczucie dla Rosjan były tak samo silne, jak pragnienie wyzwolenia. A wyzwolenie zbliżało się i ludzie podnosili głowy i zaczęli oddychać swobodniej. Pewnego ranka obudziły mnie głośne, ożywione rozmowy i dotarło do mnie zdanie, że Niemców nie ma w mieście. Wszyscy uciekli! Zerwałam się z łóżka i wybiegłam na ulicę. Wszędzie wałała się masa papierów, druków, opakowań, opustoszone niemieckie mieszkania stały otworem. Pojawili się prawowici właściciele, których Niemcy wysiedlili, i teraz oni starali się ocalić przed dewastacją pozostałe resztki.

Wolność przyszła do naszego miasta w lutym 1945 roku w trzaskający mróz. Nasze mieszkania zapełniły się żołnierzami, którzy nocowali i rankiem szli dalej. Ogarnęła mnie wielka radość, odczuwałam wdzięczność do tych, którzy pokonali Niemców i ukrócili koszmar okupacji.